

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

IMIE PANI CISZA



ZŁO czai się wszędzie
W każdym człowieku

KRZYSZTOF KOZIOŁEK

IMIE PANI CISZA

 MANUFAKTURA
TEKSTÓW

[Kup książkę](#)

Redakcja
Marek Grzelka

Korekta
Marek Grzelka, Ewa Popiłka

Pomysł okładki
Krzysztof Koziołek
Projekt okładki
Kamil Pietruczynik
kamilpietruczynik.pl

Na okładce wykorzystano archiwalne pocztówki i plan miasta
z kolekcji Muzeum Tkactwa w Kamiennej Górze.

Skład i łamanie
Krzysztof Kokosiński

Copyright © by Krzysztof Koziołek 2021
Copyright © by Manufaktura Tekstów 2021
manufakturatekstow.pl

Oficjalna strona internetowa autora
krzysztofkoziolek.pl

Wydanie pierwsze
Nowa Sól 2021

ISBN 978-83-956315-6-6

*Bratu Darkowi
z wielkim podziękowaniem!*

*Mierz siły na zamiary,
nie zamiar według sił.*
Adam Mickiewicz

Drogie Blogerki!
Drodzy Blogerzy!
Drogie Czytelniczki!
Drodzy Czytelnicy!

Stworzenie powieści z kluczem wymaga od jej autora wiele poświęcenia i ciężkiej pracy. Wszystko po to, aby ci, którzy będą ją czytać, dobrze się bawili podczas lektury.

Dlatego gorąco prosimy: uszanujcie to, i w swoich recenzjach, postach i komentarzach nie zamieszczajcie informacji, które innym potencjalnym Czytelnikom mogłyby zdradzić wątki istotne dla fabuły.

Prolog

Poniedziałek 10 sierpnia 1936, Landeshut in Schlesien¹

– To chyba jednak nie był dobry pomysł. – Właśnie taka myśl pojawiła się w głowie komisarza kryminalnego Gustava Dewarta, gdy elektryczny zespół trakcyjny relacji Liebau in Schlesien – Ruhbank² wjechał do Landeshut.

Jeszcze kwadrans temu był pełen zapału i to mimo tego, że misja, z jaką przybył do Liebau – na prośbę starszego mistrza Felixa Walslebena, szefa żandarmerii powiatu Landeshut – okazała się zakończona jeśli nie całkowitym fiaskiem, to w najlepszym przypadku pyrusowym zwycięstwem. Wir wydarzeń, nad którymi w pewnym momencie Dewart stracił kontrolę, Walslebena wsadził za kratki, z kolei starszy asystent kryminalny Robert Czekala – zaufany podwładny komisarza kryminalnego i jego człowiek od czarnej roboty – wyładował w szpitalu.

– I to wszystko przez moją niefrasobliwość... – skostatował w myślach. Przez niefrasobliwość i głupotę...

– A może jednak nie powinienem tak myśleć? – Zafraśował się. Może nie należało całej winy brać wyłącznie na siebie? W końcu obaj – Walsleben i Czekala – byli dorośli, samodzielni i z własnej woli podejmowali de-

¹ Kamienna Góra (w dalszej części powieści używana jest skrócona nazwa: Landeshut). Pełny indeks nazw topograficznych znajduje się na ss. 398-400.

² Lubawka – Sędziszów.

czyje, także te brzemiennie w skutkach, jak też ponosili ich konsekwencje.

Brzemiennie... – Na myśl, że jeden z jego przyjaciół miał wkrótce zostać ojcem, nabrał głęboko powietrza, po czym powoli je wypuścił. Musiał wziąć się w garść, odegnać strachy, które zaczęły się kłębić w głowie, zakaśać rękawy i zabrać się do porządnej roboty!

Z takim postanowieniem wyrzał przez okno wagonu. Zaraz potem dostrzegł potężną bryłę dworca kolejowego – budynek miał prawie 50 metrów szerokości, jego dolna kondygnacja została postawiona z bloków kamiennych, wyższe zaś z cegieł. Mocno nieregularny kształt budowli widzianej od strony peronów wielu osobom kojarzył się z parowozem, w przypadku Dewarta było tak samo.

Jeśli chodzi o budowę kolei żelaznych – które na całym świecie przynosiły za sobą niespotykany wcześniej rozwój lokalny – miasto Landeshut nie miało do niej szczęścia od samego początku. Główną linią kolejową, mającą przeciąć południową część prowincji Dolnego Śląska, była Śląska Kolej Górská. Biegła ona z Görlitz przez Lauban, Greiffenberg, Hirschberg im Riesengebirge i Ruhbank, do Waldenburga i dalej aż do Glatzu³. Zanim ruszyła jej budowa, rozważano poprowadzenie tejże trasy przez Landeshut – był to wariant z 1854 roku opracowany przez Eduarda Krügera. Niestety, Komisja Budowy Śląskiej Kolei Górskiej zrezygnowała z niego, jako powód podając trudne warunki terenowe. W efekcie tego główna nitka ominęła Landeshut, co z kolei

³ Odpowiednio: Zgorzelec, Lubań, Gryfów Śląski, Jelenia Góra, Sędziszów, Wałbrzych i Kłodzko.

sprawiło, że zarówno miasto, jak i powiat nie otrzymały impulsu do szybszego rozwoju przemysłowego, tak wyraźnego tam, gdzie biegły linie kolejowe.

Na nic zdały się też zabiegi szanowanych i zasobnych kupców z Landeshut, którzy już w 1855 roku lobbowali za poprowadzeniem trasy przez swoje miasto. Częściową realizację planów udało się osiągnąć dopiero dzięki wsparciu armii. W czasie wojny z Austrią w 1866 roku pruscy żołnierze z garnizonów położonych w Görlitz oraz Freiburgu in Schlesien⁴ do pobliskiej granicy musieli docierać na piechotę, co wydłużało operacje wojskowe. Dlatego też sztab generalny optował za budową południowego odgałęzienia trasy głównej. Połączenie z Ruhbanku – przez Landeshut – do Liebau uruchomiono oficjalnie 29 grudnia 1869 roku.

O ile miasto nie miało szczęścia w przypadku wytyczania głównej trasy Śląskiej Kolei Górskiej, o tyle sprzyjało mu ono w kwestii projektu architektonicznego dworca kolejowego wzniesionego w tym samym roku. Można było śmiało nazwać go jedną z najpiękniejszych budowli tego typu w całej prowincji, głównie za sprawą nieregularnej bryły – aczkolwiek bardzo przyjemnej w odbiorze nawet dla wybrednego oka – i ogromu zdobień utrzymanych w stylu neogotyckim, co sprawiało, że owa lokomotywa parowa widziana oczami wyobraźni z jednej strony przypominała pałac, z drugiej zaś, szczególnie za sprawą licznych sterczyn nawiązujących wyglądem do gotyckich wież obronnych, przywodziła na myśl ciężki parowóz używany do celów wojskowych, na pierwszej linii frontu.

⁴ Świebodzice.

Komisarz kryminalny też był teraz niejako jak na froncie. Wojna, na której znalazł się mimo woli, była może cicha, nigdy niewypowiedziana, ale bieg wydarzeń już pokazał, że może być równie śmiertelna, co ta prawdziwa.

W tym momencie skład zaczął wyraźnie zwalniać. Dewart raz jeszcze rzucił okiem przez okno, tym razem jednak nie patrzył już na budynek dworca, koncentrował się na ludziach czekających na przyjazd pociągu. Oprócz pasażerów z torbami, plecakami i walizkami różnej wielkości, dostrzegł tylko peronowego, żadnych podejrzanych typów.

– Przesadzam! – Zaczął strofować samego siebie. Wsiadał do tego pociągu eskortowany przez SA-oberttruppführera Adolfa Klugego, a ten pilnował go na rozkaz kreisleitera Heinricha Kühna, ale przecież nie był to jeszcze powód do tego, by podejrzewać, że na każdej stacji czy przystanku kolejowym będzie się na niego zacić jakiś szpicel.

Zapiszczały hamulce. Barczysty mężczyzna, od dłuższej chwili okupujący miejsce przy drzwiach, odsunął je gwałtownie, zanim jeszcze maszynista na dobre zatrzymał skład.

Jakby gdzieś mu się śpieszyło.

– Za to mi nie jest śpieszno. – Westchnął Dewart. W głowie miał mętlik. W jednej chwili myślał o Czekale i Walslebenie, i obietnicy, że nie zostawi ich na pastwę losu. W drugiej, ułamek sekundy później, przed jego oczami stawała postać Kühna i ten jego chytry uśmiech, uśmiech człowieka doskonale zdającego sobie sprawę z ogromu własnej władzy. Komisarz kryminalny

wiedział, że kolejnego wyskoku kreisleiter nie puściłby mu już płazem – tym bardziej, że miał za sobą poparcie przełożonych policjanta. Można więc było zakładać, że od razu wysłałby go do obozu koncentracyjnego.

Dlatego też musiał działać ostrożnie i poza prawem, innej opcji nie było. To dlatego zaraz po tym, jak pociąg wyruszył z Liebau, udał się do toalety, gdzie wykonał małą charakterystycję. Potem wywinął jeszcze na drugą stronę swój specjalnie skrojony płaszcz, który z czarnego prochowca w jednej chwili stał się szarym. Liczył, że to zwiedzie ewentualnych szpicli, których podejrzliwy Kühn mógłby wysłać na dworzec w Landeshut.

Barczysty mężczyzna jako pierwszy opuścił wagon, zaraz za nim zaczęli wysiadać następni pasażerowie. Dewart spojrzał na zegarek – było dziewięć minut na godzinę ósmą – odczekał na swoją kolej, dopiero wtedy postawił nogę na pierwszym stopniu.

Niespodziewanie jego ciałem wstrząsnął nieprzyjemny dreszcz, zupełnie jakby metalowy schodek w jakiś sposób był podłączony do pantografu, z którego elektryczny zespół trakcyjny czerpał prąd.

Komisarz kryminalny otrząsnął się nerwowo.

Jeszcze miał szansę się wycofać...

Kiedy ta myśl wyartykułowała się w jego głowie, zacisnął zęby, zmusił się do wykonania ruchu drugą nogą i oparł ją na ostatnim podeście.

Wówczas pojawiła się kolejna idea: mógł zrobić w tył zwrot...

Jakby na przekór własnym obawom zeskokczył na peron. I właśnie wtedy, kiedy pod podeszwami butów poczuł twardy beton, zwątpił jeszcze bardziej.

Obrócił się, patrząc na koniec składu, przy którym stał kierownik pociągu szykujący się, aby dać znak do odjazdu. Dewart wiedział, że wystarczyłaby sekunda, by z powrotem znalazł się w wagonie i chwilę później ruszałby już w kierunku Ruhbanku.

W tym momencie rozległ się dźwięk gwizdka i pociągiem szarpnęło. Komisarz kryminalny wpatrywał się w sunący wolno wagon, czując, jakby nagle znalazł się na końcu świata, sam jak palec.

Bo tak przecież było... Przeciwno sobie miał całą armię partyjnych aparaczyków i policjantów czyhających na jego najmniejszy błąd. A jego plan, z którym wsiadał do pociągu niespełna 10 kilometrów wcześniej, teraz wydawał mu się kompletnie niedorzeczny. Jak on sobie wyobrażał uwolnienie Walslebena z więzienia i zabranie Czekalę z aresztu? Tak z marszu? Niczym prestidigitator wyciągający królika z kapelusza?! To było realne życie, a nie cyrkowa arena lub pokaz tanich sztuczek!

Na co on liczył?! Podmieniony płaszcz? Okulary w rogowej oprawie? Przyлизane włosy? Wypchane policzki? Wsiok z wiejskiego jarmarku może da się na to nabrać, ale w miarę sprawny intelektualnie policjant lub żandarm od razu wyczuje pismo nosem!

– *Scheisse! Gówno!* – zaklął pod nosem. – Mogę sobie całą tę charakterystykę wsadzić w buty!

I wtedy do niego dotarło.

Miał plan?

Plan?

Miał wielkie nic, a nie plan.

Wielkie nic.

Okazała dwupiętrowa kamienica przy reprezentacyjnej Bahnhofstrasse 23⁵ jeszcze nie tak dawno temu należała do firmy „Albert Hamburger” – jednego z największych przedsiębiorstw tekstylnych działających w Landeshut. Jednak ze względu na żydowskie pochodzenie jej właścicieli, budynek, w którym mieścił się dom handlowy należący do tej spółki, na swoją siedzibę przejęła NSDAP.

Kluge, gdy tylko wsadził komisarza kryminalnego do pociągu ruszającego z Liebau, sam odjechał automobilem do Landeshut, wypełniając wcześniejsze poufne polecenie Kühna. Teraz, kilkanaście minut po siódmej, stanął przed drzwiami jego gabinetu. Zapukał niezbyt głośno, ale przy tym pewnym siebie ruchem ręki, jakby w ten sposób chciał oświadczyć kreisleiterowi, że nie jest ani o jotę onieśmielony zaproszeniem.

– Wejść! – dobiegło zza drzwi.

Obertruppführer otworzył je, wszedł do środka, po czym starannie za sobą zamknął. Jeszcze nie wiedział, czy został wezwany, aby odebrać reprimendę, czy może pochwałę, wołał więc zabezpieczyć się przez niepowołanymi uszami. Kühn był znany z wybuchów złości i zdarzało się, że niższy szczeblem funkcjonariusz partyjny po takiej połajance – gdy wieści o niej rozniosły się w powiecie – był przez towarzyszy i towarzyszki z NSDAP poddawany ostracyzmowi.

Kiedy zobaczył zadowoloną twarz Kühna, odetchnął z ulgą.

⁵ Ul. Jana Pawła II nr 19 (obecnie mieści się tutaj świetlica środowiskowa).

– Herr Obertruppführer, dobrze się pan spisał!
– rzekł Kühn głośno. Podszedł do gościa, podał mu rękę, następnie chwycił ją w żelaznym uścisku i chwilę nią potrząsał. – Moje gratulacje!

Kluge z trudem krył zaskoczenie. Wsadzić kogoś do automobilu, przewieźć parę kilometrów na stację kolejową i dopilnować, żeby ten wsiadł do pociągu, to nie była przecież wielka filozofia.

Kühn, widząc zdumienie wymalowane na obliczu obertruppführera, zaczął przyglądać mu się z uwagą i lekką nutą zazdrości. Czterdziestodwulatek bowiem wyglądał jak żywa reklama stuprocentowego Aryczyka: miał blond włosy i niebieskie oczy, a do tego był wysoki i dość dobrze umięśniony, choć kreisleiter nie bez satysfakcji zauważył, że niektóre części ciała obfitowały w zbyt rozległe pokłady tkanki tłuszczowej.

– Mam na myśli nie tylko dzisiejszy poranek, ale całe zadanie, jakie pan wykonał w ostatnich dniach, pilnując politycznie niepewnego elementu. – Kreisleiter jakby czytał w myślach rozmówcy. – Spisał się pan na chwałę Niemiec, partii i führera!

– *Jawohl!* Tak jest! – Kluge stanął na baczność, po czym wrócił myślami do chwili, kiedy niespełna godzinę temu, w drodze na dworzec kolejowy w Liebau, przeproszał Dewarta za przyłożenie ręki do serii niefortunnnych wypadków. Jak mógł do czegoś takiego dopuścić? Przecież jedynie wykonywał rozkazy! Na samą myśl, że kreisleiter mógłby się dowiedzieć, że on płaszczył się przed tym policjantem, który nawet nie krył pogardy dla partii, zmiękły mu nogi.

– W powiecie Landeshut władzę w imieniu führera sprawuję ja – perorował Kühn dalej. – I mogę chyba nieskromnie, ale za to zgodnie z prawdą, powiedzieć, że mam umiejętność właściwego oceniania ludzi i ich potencjału w służbie dla wielkich Niemiec, partii i führera. Zgadza się pan ze mną?

Pytanie było co prawda retoryczne, ale Kluge postanowił nie pozostawiać niczego domysłom, dlatego kolejny raz trzasnął obcasami.

– *Jawohl!* Tak jest! – Próbował ukrywać nerwy, jakie go ogarnęły. Mało co brakowało, a padłby przed komisarzem kryminalnym na kolana! Co to byłby za błąd!!!

– Jest pan zasłużonym bojownikiem partyjnym i członkiem SA, a do tego zaprawionym w wieloletnich walkach o narodowy socjalizm – kontynuował kreisleiter. – Mam rację?

W odpowiedzi Kluge gwałtownie potaknął. Jakże mógł zapomnieć o swoich korzeniach?! Dać się przekabacić Dewartowi? On, jeden z tych dwustu członków partii, którzy wieczorem 30 stycznia 1933 roku – kiedy Adolf Hitler otrzymał nominację na kanclerza Rzeszy – przemaszzerowali przez Landeshut, trzymając w dłoniach płonące pochodnie. Szli wtedy uliczkami, pokrzykując i zachęcając mieszkańców do przyłączenia się, choć – musiał to przyznać – z mizernym efektem.

Wtedy z mizernym, ale przez te trzy lata, jakie minęły od tamtego czasu, NSDAP rosła w siłę i liczbę członków, poparcie społeczne zaś stale się zwiększało. Komórka miejska w Landeshut została założona dopiero cztery lata po tym, jak gauleiter Śląska Helmut Brückner utworzył struktury okręgowe. Pierwszą poważną kampanią,

jaką prowadziła, były wybory do Landtagu w Prusach 20 maja 1929 roku. Narodowi socjaliści zebrali wówczas w powiecie jedynie 269 głosów, czyli jeden procent uprawnionych do głosowania. W tym samym czasie odbyły się też wybory do rady miejskiej w Landeshut, a członkom partii Hitlera powiodło się znacznie lepiej: zdobyli pięć mandatów. Zgodnie z wytycznymi przekazanymi przez władze okręgu, mieli się koncentrować na sianiu zamętu i niepokoju wśród pozostałych rajców, być takimi psami na łańcuchu ujadającymi bez względu na czas i okoliczności. I tak właśnie robili, a Kluge był jednym z tych, którzy im w tym procederze pomagali najwydatniej.

Takie podejście okazało się nad wyraz skuteczne, jako że w wyborach do Reichstagu 5 marca 1933 roku na listę NSDAP w powiecie oddało swoje głosy już 25.586 wyborców – czyli ponad 54 procent. Teraz, trzy lata później, mało kto wstydził się przyznać, że jeśli nie jest członkiem NSDAP, to przynajmniej z nią sympatyzuje.

– Wie pan, że partia potrafi odwdziżyć się za poświęcenie? – Kühn zachowywał się tak, jakby umysł gościa stał przed nim otworem.

Obertruppführer nastawił uszu. Ton głosu rozmówcy wskazywał, że trzyma w zanadrzu jakąś miłą niespodziankę.

– Drogi Adolfie... – Kreisleiter uśmiechnął się szeroko. – Z racji zasług poczynionych dla lokalnej komórki NSDAP, podjąłem decyzję o przyznaniu panu awansu i to od razu o dwa stopnie.

Kluge był pewien, że się przesłyszał.

– Herr Sturmführer, gratuluje! – krzyknął Kühn.

Dopiero teraz do jego rozmówcy dotarło, co się właśnie stało.

– Dziękuję! – wrzasnął.

– To nie wszystko. Pańska kariera właśnie ruszyła z kopyta. Ale przyszedł czas, aby dostał pan od partii także godziwą pensję. Należy się to panu.

Kluge zaczął nerwowo przebierać palcami, nie mógł się doczekać, aż kreisleiter przejdzie do sedna.

– Proponuję panu nową pracę w lokalnym oddziale organu prasowego naszej partii.

Słyszac to, sturmführer jęknął w duchu. Tak się ucieszył z nowej pracy, a przyjdzie mu się obejść smakiem!

– Ale ja nie mam pojęcia o pracy żurnalisty... – rzucił wyjaśniająco.

– Nic nie szkodzi. – Kühn zaprezentował szeroki uśmiech. – W dzisiejszych czasach wiedza czy doświadczenie w tym zawodzie nie są tak bardzo istotne. Można by pokusić się o stwierdzenie, że częściej są zbędne, a niekiedy nawet i szkodliwe.

Kluge nie do końca nadążał za tokiem rozumowania gospodarza, ale też ze względu na to, że był szeregowym członkiem partii, nie posiadał takiej wiedzy, jak kreisleiter. Nie miał więc pojęcia, jak wyglądało przeprowadzenie narodowosocjalistycznej rewolucji w mediach.

Po tym, gdy Hitler został kanclerzem, naziści zaczęli przejmować kolejne urzędy i podporządkowywać sobie coraz to nowe dziedziny życia społecznego, jak administrację landów, sądy, szkolnictwo i policję. Robili to kawałek po kawałku – niczym murarz kładący cegłę po cegle – nie od razu, zupełnie jakby odkrawali następne plasterki kiełbasy.

Jednak z przejściem mediów – kluczowych dla sprawowania władzy – nie poszło już tak łatwo. Pierwszą przeszkodą było rozdrobnienie niemieckiej prasy, nie spotykane w Europie, w której zwykle funkcjonowały gazety o zasięgu ogólnokrajowym. W tym przypadku prasa była pochodną dawnego rozbitcia dzielnicowego – przed 1933 rokiem w Niemczech funkcjonowało około 4700 tytułów prasowych.

Kiedy więc Joseph Goebbels 13 marca tamtego roku stanął na czele Ministerstwa Propagandy i Oświecenia Publicznego, jednym z jego głównych celów stało się stworzenie silnych mediów centralnych, za pomocą których można by budować w społeczeństwie odpowiednie – czyli nazistowskie – nastroje. Środkami, po jakie wówczas sięgnięto, były między innymi kradzieże kolejnych periodyków, sankcjonowane przez nowo uchwalane prawa. Gazety w swoim ręku zaczął skupiać największy magnat prasowy III Rzeszy, Max Amann, człowiek, którego jednym z największych osiągnięć było sprawienie, iż oficjalny organ prasowy NSDAP – „Völkischer Beobachter” – osiągał ponadmilionowy nakład.

– Pańskim zadaniem będzie to, co robił pan do tej pory – mówił kreisleiter dalej – czyli walka o wprowadzenie narodowego socjalizmu pod każdą strzechę. A pragnę nadmienić, że walka na tak ważnym odcinku, jak prasa i propaganda, jest kluczowa.

– Będę zaszczycony... – rzekł Kluge niepewnie.

– Niech się pan nie martwi. – Kühn podszedł bliżej, położył dłoń na ramieniu rozmówcy, po czym obdarzył go niemal ojcowskim spojrzeniem. – W tym fachu najważniejsza jest lojalność...

– Będę naprawdę zaszczycony! – Teraz w głosie sturmführera nie było już śladu powątpiewania.

Kühn wrócił za biurko, usiadł za nim, jeszcze raz popatrzył na gościa.

– Lojalność... – powiedział z naciskiem. – Rozumie pan, co mam na myśli?

Kluge wyprężył się jak struna.

– *Jawohl!* Tak jest! – zapewnił.

– Wiem, że jest pan ideowcem, ale wzniosłymi celami żołądków bachorów się nie napełni – zauważył kreisleiter. – Dlatego mam dla pana kolejną dobrą wiadomość: pańska pensja wzrośnie ponaddwukrotnie.

Z radości nie wiedział, co powiedzieć.

– Herr Sturmführer, mam nadzieję, że dalej będę mógł na panu polegać? – spytał Kühn.

Sturmführer... Jak to brzmiało! – Kluge dumiał już tylko o nowej pracy i pensji, o jakiej wcześniej mógł jedynie marzyć.

– Herr Kreisleiter, może pan na mnie polegać w całej rozciągłości! – powiedział radośnie, nie myśląc o komisarzu kryminalnym, po niedawnych rozterkach duchowych w tym temacie nie było już bowiem śladu.

Więcej, gdyby Dewart znajdował się teraz w tym gabinecie, wystarczyłoby, żeby Kühn skinął ledwie głową, a on gołymi rękoma zatłukłby komisarza kryminalnego jako największego wroga narodowego socjalizmu.

Wystarczyło kilka chwil spędzonych na schodach wagonu i potem na peronie dworca w Landeshut, żeby Dewart umocnił się w przekonaniu, iż zmiana koloru płaszcza i lekka charakteryzacja twarzy to zdecydowanie za mało, by w pojedynek przeprowadzić tak śmiałą, a przede wszystkim skuteczną akcję.

W pojedynek... Gdyby chociaż miał u swego boku Czekalę – człowieka, na którym zawsze mógł polegać! – ten jednak leżał teraz w szpitalu, walcząc pewnie o życie. Komisarz kryminalny był zatem sam. Entuzjazm, który przywiódł go do tego miasta, zniknął bezpowrotnie, plan zaś, jaki tlił się wówczas w głowie, odrzucił definitywnie – ale to przecież jeszcze nie oznaczało, że miał podkulić ogon pod siebie i uciec jak ostatni tchórz.

Nie mógł tak postąpić!

Dał przecież Walslebenowi słowo honoru, że zrobi wszystko, aby go uwolnić. Był też to winny Czekale.

Nie wolno mu było zrejterować, choćby nie było wiadomo, jak wysoką cenę przyszkłoby mu za to zapłacić. Nawet jeśli wpadłby przy tym w ręce Kühna albo komendanta powiatowej policji Oswalda Beera.

Na myśl o koledze po fachu zamarł. Kiedy opuszczał wagon, szpicla na peronie nie wypatrzył, ale co, jeżeli czaił się w poczekalni? Jakby na zawołanie, jakaś matrona otworzyła gwałtownie drzwi i oczom Dewarta ukazała się przestronna hala dworcowa ciągnąca się przez cały budynek aż do wyjścia na ulicę. Przebywało w niej kilkanaście osób, ale oczy komisarza kryminalnego od razu wychwyciły nieco tęgawego

mężczyznę, starszego od niego samego może o pięć lat. Zdradził go brak walizki, nesesera czy innej torby podróźnej, jaką ktoś czekający na pociąg powinien przy sobie mieć. Oczywiście zawsze istniała możliwość, że nieznajomy pojawił się na dworcu po to, aby kogoś odebrać, aczkolwiek policjant obstawał przy swoim.

Najchętniej obróciłby się na pięcie, ale zdawał sobie sprawę, że takie zachowanie od razu przykułoby uwagę szpicla, a tego należało unikać jak diabeł święconej wody. Nie miał wyjścia, musiał wsadzić głowę w paszczę lwa. Przekroczył próg, wszedł do holu i od razu drogę zastąpiła mu dziewczynka trzymająca w ręku wiklinowy koszyk wypełniony różnej maści chustami, chustkami i chusteczkami. Za nią stała starsza kobieta z jeszcze większym koszem, chyba z obrusami, Dewart domyślał się, że była babcią dziecka.

– Proszę szanownego pana, kupi pan lnianą chustkę? – powiedziała dziewczynka tak cicho, że ledwie ją słyszał w tłumie panującym w holu. – Ręcznie wykonana, proszę szanownego pana... Idealna na prezent dla małżonki albo dla córki lub siostry.

Komisarz kryminalny nie potrzebował żadnej chusty – nie miałby kogo nią obdarować – ale nie potrafił odmówić dziecku.

Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, nagle, jak spod ziemi, wyrósł peronowy.

– Idź stąd, bachorze! – wrzasnął tak, że echo odbiło się od murów. – Ale już! – krzyknął jeszcze głośniej. – Tyle razy powtarzam, że nie wolno zaczepiać pasażerów! Won handlować na ulicę!

Chwilę temu Dewart planował przemknąć niepostrzeżenie obok tęgawego mężczyzny, który wciąż podpierał jedną ze ścian, jednak przy takim obrocie sprawy, kiedy właśnie wpatrywali się w niego wszyscy obecni w przestronnym pomieszczeniu, było to już niemożliwe i musiał improwizować.

– Nie trzeba tak od razu drzeć się na Bogu ducha winne dziecko. – Pogroził peronowemu palcem. – Jedyne, co chce zrobić, to pomóc rodzinie, prawda? – Nie oczekiwał odpowiedzi na to pytanie, od razu sięgnął po pugilares i wysupłał z niego parę banknotów. – Który wzór byś mi poleciła, panienko?

– A ma być dla żony czy dla córki? – spytała radośnie.

Na dźwięk tych słów Dewart poczuł ostry ból w sercu. Przywołał się jednak do porządku. Każda kolejna chwila zmitrężona w obecności szpicla groziła dekonspiracją.

– Dla matki – rzekł po chwili namysłu.

Takiej odpowiedzi dziewczynka się nie spodziewała, bezwiednie spojrzała na towarzyszącą jej kobietę. Ta uśmiechnęła się najpierw do niej, potem do policjanta.

– Polecam panu szanownemu bardzo dobrej jakości okrągły obrus z koronką. – Postawiła kosz na posadzce, wyjęła z niego materiał, rozpostarła w rękach, żeby potencjalny klient mógł zobaczyć towar. – Jeden z ostatnich... Wiele takich mi nie zostało... – tłumaczyła. – Stara już jestem... Schorowana... Palce nie tak zręczne, jak kiedyś...

– Sama pani tkala? – spytał życzliwie.

– Tak – potwierdziła skwapliwie. – Dzisiaj, kiedy maszyny wyparły człowieka, niewiele już nas, tkaczek, zostało... A musi szanowny pan wiedzieć, że w naszym mieście tradycje tkackie są bogate... Jakby szanowny pan miał chwilę, mogłabym panu opowiedzieć jak to wszystko się zaczęło... Chciałby pan szanowny?...

Dewart czuł na sobie palące spojrzenie tęgawego mężczyzny. Wiedział, że ten bacznie go obserwuje. Gdyby nie zareagował na ofertę sprzedaży, mógłby teraz machnąć ręką i ruszyć przed siebie. Skoro jednak pokusił się na uprzejmości, raz obranej roli musiał się trzymać.

– Chętnie – powiedział, uśmiechając się przyjaźnie.
– Ale tutaj ledwie panią słyszę. Może pójdźmy na zewnątrz? – Pokazał dłonią na drzwi.

Wyszli z budynku, Dewart posadził dziewczynkę na kamiennym murze zabezpieczającym strome schody – dworzec wybudowano bowiem, wykorzystując naturalną skarpcę – sam usiadł na jednym ze stopni i zamienił się w słuch, czując instynktownie, że kapuś obserwuje go przez któreś z licznych okien.

– Szanowny pan musi wiedzieć, że to właśnie tkactwo od stuleci było głównym zajęciem zarobkowym mieszkańców naszego miasta, jak i całego powiatu. – Staruszka zaczęła opowieść.

Okoliczne górskie gleby nigdy nie należały do zbyt urodzajnych. A że do tego zimy były tu długie, średnia temperatura roczna niska, to tutejsi rolnicy nie mieli co liczyć na obfite plony. Zupełnie inaczej miała się uprawa lnu i jego późniejsza obróbka. Nasłonecznione łąki i zasobność górskich potoków oraz rzek ułatwiały bielenie płótna. Nic więc dziwnego, że tkactwo stało się

podstawowym zajęciem ludności, i to nie tylko wiejskiej, miejskiej także, len bowiem na ciężkich górskich glebach uprawiali zarówno chłopi, jak i szlachcice – nie swoimi rękami, lecz pracowników – a wyrabiane z niego tekstylia produkowano nie tyle na własne potrzeby, co na eksport.

Produkcja płótna ruszyła z wielką mocą w 1521 roku, kiedy to w Landeshut powstał cech płócienników liczący sobie aż czterdziestu majstrów. Przez kolejne wieki to właśnie produkcja i handel lnianymi tkaninami były główną osią napędową regionu, a wytwarzane przez mieszkańców powiatu towary zdobyły tak duże uznanie, że trafiały nie tylko na europejskie rynki – włącznie z najbardziej wymagającymi, jak Niderlandy i Francja – ale także za ocean.

Len przynosił duże zyski, największe jednak nie tym, którzy go uprawiali i misternie tkali z niego płótno, lecz handlującym nim kupcom, często obwinianym o wyzysk chałupników. W 1676 roku czternastu handlarzy założyło w Landeshut konfraternię kupiecką, ale wymagania, jakie stawiano chętnym do przystąpienia, były bardzo surowe: należało być piśmiennym, inteligentnym i wykształconym. Kandydatów jednak nie brakowało, jako że bycie kupcem oznaczało nie tylko splendor, ale też wymierne korzyści finansowe. Nic więc dziwnego, że nieco ponad pół wieku później do gildii kupieckiej należało już 156 osób.

Landeshut i okolice rozwijały się dzięki tkactwu, jednak los nie szczędził trosk mieszkańcom, ściągając na nich coraz to nowe zawieruchy wojenne. Jednymi z tych, które okazały się najbardziej brzemiennie w skut-

kach, były trzy wojny śląskie. Miasto zostało wówczas wielokrotnie zniszczone, a po jednej z wielkich grabieży uciekli niemal wszyscy obywatele, wyłączając jedynie dwóch. Potem, gdy już wrócili, musieli zacząć odbudowę praktycznie ze zgliszczy, a o skali zniszczenia świadczył fakt, że sam król pruski wyłożył na ten cel 100 tysięcy talarów i własnym sumptem wybudował też siedem murowanych budynków mieszkalnych.

Wtedy właśnie postawiono na produkcję nowych gatunków tekstyliów – adamaszku i batystu – kierując jego sprzedaż w większości na eksport – rozwijano także następne plantacje lnu. Szybko jednak okazało się, iż kolejne gospodarcze kroki torpedują kwestie polityczne: najpierw Austriacy zamknęli granice dla śląskiego płótna – znacznie przy tym utrudniając tranzyt do Hiszpanii i Portugalii oraz zamorskich kolonii tych krajów – później równie doskonale wyroby po drugiej stronie pobliskiej granicy zaczęli produkować Czesi.

A potem przyszedł następny, bodaj najmocniejszy cios: Anglia uniezależniła się od śląskich tkanin, rozwijając produkcję płótna za pomocą maszyn przemysłowych. Było ono dużo lepszej jakości i znacznie tańsze, co spowodowało spadek cen tutaj, na miejscu. Kupcy – którzy ani myśleli brać na swoje barki koszt tych zmian – zaczęli jeszcze bardziej wyzyskiwać tkaczy-chałupników, efektem czego były wybuchy społecznych niepokojów. Do pierwszych doszło w pobliskim mieście – Schömbergu⁶ – a potem fala rozlała się na cały region. Trudno jednak było dziwić się tkaczom, skoro większość z nich ledwie zarabiała na życie, i to tylko wówczas, kiedy

⁶ Chełmsko Śląskie.

w produkcji tkanin brały udział całe rodziny, włącznie z kilkuletnimi dziećmi – bywało, że za cały tydzień wytężonej pracy chałupnik otrzymywał wynagrodzenie, za które mógł kupić jedynie pięć kilogramów razowego chleba.

Nic jednak nie mogło zatrzymać rewolucji przemysłowej, w końcu dotarła ona i do Landeshut: pierwszą mechaniczną przędzalnię w mieście uruchomiono w 1841 roku. W kolejnych dziesięcioleciach powstawały kolejne fabryki, w których zatrudnienie znajdowali też tkacze-chałupnicy, a po Wielkiej Wojnie przemysł lnianski w powiecie rozwijał się tak dobrze, że stał się najprężniejszym ośrodkiem w całej prowincji.

Firma „Kramsta – Methner und Frahne” – produkująca tkaniny lniane, bieliznę pościelową i łazienkową, a nawet płótna żaglowe – zatrudniała wówczas 4000 osób. W fabryce Hermana Rinkla – zajmującego się wytwarzaniem surówki, płócien, obrusów oraz ręczników – na tysiącu krosien pracowało tysiąc pięciuset robotników. W gronie największych było jeszcze przedsiębiorstwo „Albert Hamburger” – ośmiuset zatrudnionych – oraz „F.V. Grünfeld” z pięciuset pracownikami.

– A niedawno, bo trzy lata temu, uruchomiono nawet produkcję sztucznego jedwabiu. – Staruszka przerwała na chwilę, bacznie oglądając się za siebie.

Dewart zaczął uważnie jej się przypatrywać. Wyglądała, jakby chciała coś powiedzieć, ale się bała.

Nie musiała niczego dodawać, policjant domyślał się, w czym rzecz, jako że Landeshut nie było jedynym miastem w III Rzeszy, w którym działali żydowscy przedsiębiorcy. Domyślał się, że niektóre fabryki włó-

kiennicze już zostały im zrabowane – trafiając w ręce „prawdziwych Niemców” – a pozostałe czekał pewnie taki sam los.

– Muszę już pani podziękować. – Komisarz kryminalny postanowił wykorzystać nadarzącą się okazję. – Pora na mnie. A pani i wnuczce życzę, abyście sprzedały dzisiaj wszystkie towary, co do jednego.

Oczy kobiety zaszkliły się łzami.

– Dziękuję szanownemu panu – powiedziała cicho.

– Dziękujemy! – zaszczębiotała dziewczynka radośnie.

Policjant uklonił się szarmancko, po czym zszedł ze schodów i wyszedł wprost na Bahnhofstrasse. Kiedy chwilę później kroczył w kierunku rynku, w głowie wciąż szumiały mu słowa staruszki opowiadającej o burzliwych dziejach tego miasta: wojnach, grabieżach i buntach prostych ludzi niemających co włożyć do garnka.

Jakby tego było mało, czasy, w których przyszło im teraz żyć, wbrew pozorom wcale nie należały do łatwiejszych, a trzeba było jeszcze wziąć pod uwagę, że kanalii chodzących po ziemskim padole przybyło tak nagle, jakby rozmnażały się niczym króliki.

I on miał dobrowolnie między tymi szujami lawirować, niejako igrając z losem. Kiedy to sobie uświadomił, po plecach przebiegł mu nieprzyjemny dreszcz. Dla uspokojenia ducha wspomniął od razu niedawną rozmowę z Wacławem Lubomskim, benedyktynem z pobliskiego opactwa w Grüssau⁷, który w takich sytuacjach zwykł podawać prostą receptę.

⁷ Krzeszów koło Kamiennej Góry.

Niektóre rzeczy nie dzieją się przypadkiem.

Komisarz kryminalny dodałby do tego jeszcze jedną myśl: kiedy przypadek już się zdarzy, należało go wykorzystać do własnych celów.

I tak zamierzał teraz zrobić. Musiał założyć, że dworcowy szpicel zarejestrował jego obecność i że prędzej czy później opis tego spotkania trafi na biurko Beera lub Kühna, a może i obu naraz. Ponieważ sam był policjantem, bez problemu mógł przewidzieć, jakie będzie następne posunięcie przeciwnika.

A to oznaczało, że – chociaż tak naprawdę nie wykonał jeszcze żadnego ruchu – dysponował już przewagą.

– Nieprawda... – Dewart poprawił samego siebie.
– Wykonałem ruch, choć jeszcze chwilę temu nie zdawałem sobie z tego sprawy... – Obrócił się, szukając wzrokiem wejścia na dworzec, ale ani dziewczynki, ani towarzyszącej jej staruszki nie było już na schodach. Pewnie wytwory swojej ciężkiej pracy oferowały teraz innym podróżnym. – Podałem pomocną dłoń potrzebującym... – dodał pod nosem.

Niektóre rzeczy nie dzieją się przypadkiem.

Rozdział 3

W drodze na rynek Dewart wspominał opowieści starej tkaczki, szczególnie zaś wyzysk biednych chałupników. Kiedy dotarł do celu, na własne oczy przekonał się, jak wielkie fortuny pośrednicy zarabiali ich kosztem, handlując tekstyliami. Ślady dawnej zamożności kupców mógł podziwiać, patrząc na kamienice

stojące wokół rynku – wiedział też, że podobne symbole bogactwa istniały w dwóch pobliskich miastach: Liebau i Schömbergu. Zamożności miejscowych handlarzy płótna dowodziła też sama historia, jak choćby fakt, że w czasie wojen napoleońskich nałożona na całe Pogórze Sudeckie kontrybucja aż w połowie została zapłacona przez kupiectwo z Landeshut. Na nic zdały się próśby o zmniejszenie daniny, okupant wnioszek odrzucił, tłumacząc, że największą część podatku wojennego powinni płacić najmożniejsi. Najwyraźniej Francuzi wiedzieli, że miejscowi handlarze mieli głowę do robienia dobrych interesów. A przecież pół wieku wcześniej – w 1742 roku – Landeshut razem z trzema innymi miastami: Hirschbergiem⁸, Schmiedebergiem⁹ oraz Greiffenbergiem przystąpiło do Górskiego Ziemstwa Handlowego, co pozwoliło im zmonopolizować handel tekstyliami i dyktować ceny na rynkach europejskich.

Jednak nie wszyscy kupcy myśleli tylko o własnym bogactwie, zdarzali się też tacy, którzy zdawali sobie sprawę z roli, jaką tkactwo odgrywało w rozwoju miejscowych społeczności. Jedną z takich osób i zarazem najbardziej znanym oraz cenionym fabrykantem branży płócienniczej był Peter Hasenclever, człowiek, który produkty z Landeshut rozszławił na całym świecie. Zasłynął też z działalności na innych polach gospodarki, jak choćby z namawiania do wykorzystywania w przemyśle węgla kamiennego i gazu.

Jak więc w każdej grupie społecznej – tak i wśród kupców trafiały się kanalie, ale i ludzie do rany przyłoż.

⁸ Jelenia Góra.

⁹ Kowary.

– Wśród policjantów było podobnie – stwierdził Dewart w myślach, stając przed dwiema sąsiadującymi ze sobą kamienicami. Pod numerem 13¹⁰ był „Hotel Raben”, pod 14¹¹ „Hotel Drei Berge”, przed obiema rozstawiono duże donice z rosnącym w nich żywopłotem, podobnie zresztą jak przed sąsiednim budynkiem mieszczącym kawiarnię, cukiernię i pijalnię czekolady.

Komisarz kryminalny zaczął się zastanawiać, z usług którego obiektu skorzystać, gdy wtem dostrzegł mężczyznę wychodzącego z salonu fryzjerskiego Paula Jäckela znajdującego się w tym samym budynku, co „Hotel Drei Berge”. W pierwszej chwili przestraszył się, myśląc, że ma do czynienia z Klugem, ale gdy nieznajomy odwrócił się w jego stronę, ukazując twarz, wiedział już, że alarm był fałszywy i że czas wreszcie spocząć, by ukoić coraz bardziej skołatane nerwy.

Rozstrzygnięcie sprzed paru chwil wziął za dobrą monetę i zdecydował się na hotel pod czternastką. Przekroczył próg, podszedł do recepcji i – widząc, że nikogo w niej nie ma – zaczął jak oszalały uderzać palcami w dzwonek.

Niedługo potem na stanowisku pracy pojawił się mężczyzna w idealnie skrojonym garniturze.

– Ależ pan szanowny jest niecierpliwy. – Recepcjonista przybrał na twarz wystudiowany uśmiech. – Najmocniej pana szanownego przepraszam, że pan czekał, ale każdy musi czasem udać się w miejsce, do którego nawet sam król chadza piechotą.

Jeśli pracownikowi hotelu wydawało się, że delikatnym żartem pozyska sympatię klienta, srodze się za-

¹⁰ Pl. Wolności 22 (dawniej: Markt 13).

¹¹ Pl. Wolności 21 (dawniej: Markt 14).

wiódł. Dewart bowiem spojrzał bacznie na niezbyt gęste włosy recepcjonisty potraktowane przesadnie grubą warstwą pomady, po czym wycodził:

– Sprawy pańskiej toalety obchodzą mnie tyle, co nic. Jestem zmęczony podróżą i chciałbym bez zwłoki odpocząć, a nie spędzać kolejne minuty na gapieniu się w pustkę za kontuarem niczym sroka w gnat.

– Jeszcze raz najmocniej szanownego pana przepraszam. – Mężczyzna z ulizanymi włosami zmienił taktykę. – Pan szanowny nie miał jeszcze przyjemności gościć w naszym hotelu, prawda?

– Nie miałem przyjemności gościć w waszym hotelu – potwierdził, uśmiechając się w sposób niezwiastujący niczego dobrego. – Pomijając fakt, że od przekroczenia progu zastanawiam się, czy mój pobyt w tym obiekcie będzie można nazwać przyjemnością. Już od wejścia wszędzie aż się lepi od brudu.

Recepcjonista z niejednego pieca jadł chleb, ale takiego ataku się nie spodziewał.

– Czy mogę łudzić się nadzieją, że otrzymam do dyspozycji pokój, w którym sprząta się częściej niż na Boże Narodzenie? – Policjant kontynuował słowny atak.

– Zaraz wezwę sprząającą, aby zajęła się pańskim zgłoszeniem. – Mężczyzna w idealnie skrojonym garniturze robił, co mógł, aby zadowolić wymagającego klienta.

– Życzy pan sobie pokój z prywatną łazienką czy bez?

– Życzę sobie pokój z prywatną łazienką w cenie pokoju bez łazienki jako rekompensatę za narażanie na brud – rzekł Dewart tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Proszę natychmiast zanieść tam mój bagaż, chciałbym się niezwłocznie odświeżyć.

– Oczywiście, jak tylko dopełnimy formalności mel-dunkowych...

– Chyba pan nie myśli, że będę czekać, aż się pan z tym upora?! – Komisarz kryminalny gniewnym ge-stem położył dowód osobisty na blacie. – Niech pan so-bie załatwia biurokrację beze mnie! Odbiorę dokumen-ty, gdy zejdem na śniadanie.

– Oczywiście! – Mężczyzna wyskoczył zza kontuaru, chwycił za walizkę gościa. – Tędy, proszę szanownego pana. – Ruszył w kierunku schodów.

Dewart podążył za nim, nieznacznie uśmiechając się pod nosem. Głośnym i nieuprzejmym zachowaniem zwrócił na siebie uwagę kilku gości hotelowych zmie-rzających do sali restauracyjnej. Oni jednak dla poli-cjanta się nie liczyli.

Chodziło mu tylko o to, aby dać się we znaki recep-cjoniście.

Rozdział 4

Kluge nie zdążył nawet ochłonać po rewelacjach usłyszanych z ust kreisleitera, gdy otrzymał od niego pierwsze zadania jako nowo zatrudniony dziennikarz „Beobachter im Riesen- und Isergebirge”. Miał pojawić się w zamku Kreppelhof na skromnym przyjęciu wyda-nym na cześć kilku miejscowych przemysłowców z oka-zi uruchomienia przez nich kolejnej fabryki, wcześniej zamkniętej ze względu na Wielki Kryzys.

Sturmführerowi znana była działalność tych fabrykan-tów, wielokrotnie czytał artykuły zamieszczane w gaze-

cie – w której właśnie zaczął pracować – wychwalające ich przedsiębiorczość oraz lokalny patriotyzm, dzięki któremu rzesza bezrobotnych z Landeshut i okolicznych miejscowości topniała niczym śnieżna pokrywa na Schneekoppe¹² wiosną. Kluge wiedział też, że inicjatywę wspiera partia z kreisleiterem na czele, o czym żurnaliści nie omieszkiwali każdorazowo czytelnikom przypominać.

*

Z centrum miasta do zamku położonego na jego północnych rubieżach wiodły dwie aleje obsadzone w głównej mierze stuletnimi lipami. Obie – podobnie jak alejki wokół Kreppelhofu obfitujące w drzewa innych gatunków oraz niezliczone krzewy – były popularnym miejscem spacerów, szczególnie tych, na które mieszkańcy Landeshut wybierali się w niedzielne południa.

Jeden z lipowych traktów nosił nazwę Alei Księżęcej, nadano ją na pamiątkę wizyty w Kreppelhofie księcia Fryderyka Wilhelma IV – późniejszego króla i cesarza pruskiego – w 1827 roku. I właśnie tę drogę pokonywał Kluge, w myślach rozpamiętując każde słowo, jakie padło z ust kreisleitera. Tak szczęśliwy, jak tego poranka, nie był od dawna. O świcie, kiedy wstawał do pracy i krótko potem, gdy meldował się w pałacu Kühna w Pfaffendorfie¹³, nie przypuszczał jeszcze, że tego dnia los ześle mu tak hojną nagrodę za wierną służbę partii. Lata wyrzeczeń i bezdyskusyjnego wypełniania poleceń wreszcie przyniosły profity, o jakich wcześniej mógł jedynie marzyć.

¹² Śnieżka.

¹³ Szarocin.

Kluge od dziecka mieszkał w Pfaffendorfie – odległym od Landeshut jedynie o kilka kilometrów – niezliczoną liczbę razy bywał w stolicy powiatu, słyszał o zamku i widział go z zewnątrz niejednokrotnie, ale do tej pory nigdy nie miał okazji przestąpić jego progu.

Kreppelhof, jako posiadłość rycerską wraz z zamkiem i folwarkiem, wybudowano na początku XVI wieku, sam pałac prawdopodobnie w roku 1566, o czym świadczyła data widniejąca na jednym z portali. Majątek był zlokalizowany poza terenem miasta, na północ od niego i należał do hrabiego von Schaffgotscha.

Pierwszy zameczek, jaki stał w tym miejscu, był jednak dużo mniejszy od dzisiejszego zamku, który powstał w wyniku gruntownej przebudowy, stając się jednym z największych i najbogatszych, jakie można było spotkać na terenie księstw śląskich. Broniony był przez mur z blankami i basztami oraz fosę zasilaną z pobliskiej rzeki Bober¹⁴. Postawiony na planie czworoboku, posiadał wewnętrzny dziedziniec otoczony arkadami. W południowo-zachodnim narożniku stała masywna wieża, efekt niedawnej przebudowy.

Tym, co wyróżniało tę budowlę spośród dziesiątek podobnych wzniesionych na Śląsku w szesnastym stuleciu były niezliczone detale architektoniczne, o jakie zadbali włoscy projektanci i rzeźbiarze – portale, gzymsy, obramowania otworów okiennych i attyki – dzięki którym zyskiwała ona iście pałacowy charakter¹⁵. Jedną z takich charakterystycznych cech były obramienia okienne.

¹⁴ Bóbr.

¹⁵ W przypadku Kreppelhofu nazwa „zamek” przyjęła się w języku potocznym, aczkolwiek trwa spór historyków sztuki o to, czy był to faktycznie zamek, czy też pałac. Formalnie dawną rezydencję Schaffgotschów można określić mianem dworu obronnego ze zdobieniami o charakterze pałacowym.

O ile zwykle wszystkie otwory okienne w pałacu czy dworze wykonywano według tego samego wzoru, o tyle w Kreppelhofie zastosowano ich kilka różnych, dodając tym samym wyjątkowości.

Zamek był postawiony na planie nieregularnego prostokąta o wymiarach około 35 metrów na 50 metrów, obecnie mieścił 16 izb mieszkalnych i cztery pomieszczenia piwniczne. Jego dach pokryty był czerwoną dachówką, kopuła wieży zaś odznaczała się innym – szarym – kolorem.

Kluge doszedł do bramy wjazdowej, zatrzymał się przed nią, zaczął się jej przyglądać, jako że do umówionej pory miał jeszcze trochę czasu. Portal był bogato i misternie zdobiony, sturmführer domniemywał, że na gościach wchodzących na teren posiadłości miał wywierać wielkie wrażenie. Jakby wręcz krzyczeć o bogactwie jego właściciela.

Jeszcze nie tak dawno byłby o coś takiego zazdrosny, psioczyłby na przepych i fortunę, jakiej jemu nie było dane posiadać. Teraz jednak, wiedząc, że jego wierna służba partii zostanie wreszcie należycie wynagrodzona, czuł się niemal częścią tego świata.

Dotknął palcami kamienia, z którego była wykonana brama, potem zerknął na wykutą w niej inskrypcję – słowa Pisma Świętego – jasny dowód na to, że mieszkający tu właściciel był wyznawcą wiary ewangelickiej i zgodnie z nią zasady wiary zreformowanej przez Marcina Lutra wprowadzał we własne życie.

Anioł Pański obozuje wokół Pana, więc bój się go i pomóż mu. On aniołom czuwającym nad tobą nakazuje, aby strzegły cię na wszystkich twoich drogach.

Skończywszy czytać, sturmführer spojrział na zegarek. Widząc, że czas spotkania się zbliża, wziął głęboki wdech, po czym wypuścił powietrze z sykiem, przechodząc jednocześnie przez bramę. Czuł się przy tym, jakby cały świat leżał u jego stóp.

Tak, tego dnia Bóg był właśnie z nim, a Pańskie anioły czuwały nad jego ścieżkami.

Rozdział 5

W ostatnich wiekach właściciele Kreppelhofu na co dzień w nim zwykle nie mieszkali – piastując wysokie urzędy państwowe oraz prowincjonalne i mieszkając w Berlinie lub Breslau¹⁶ – ale to za ich sprawą cieszył się on wielką sławą w całej prowincji, a także poza jej granicami. To w nim w 1813 roku gościli król Fryderyk Wilhelm III i car rosyjski Aleksander I, przyjmujący na niedalekim wzgórzu defiladę zwycięskich wojsk po Bitwie Narodów pod Lipskiem.

Zamek przez stulecia wielokrotnie zmieniał właścicieli, był też kilka razy przebudowywany w mniejszym lub większym stopniu. Ostatnia taka duża zmiana miała miejsce w 1872 roku, kiedy hrabia Eberhard zu Stolberg-Wernigerode – w latach 1851-1858 starosta Landeshut oraz nadprezydent Śląska w okresie od 1869 do 1872 – dostawił olbrzymią wieżę i dobudował taras, zachowując przy tym spójność stylistyczną obiektu i podnosząc jego wartość artystyczną, co w tamtych czasach wcale nie było takie częste.

¹⁶ Wrocław.

Do 1910 roku posiadłość należała do hrabiego Udo zu Stolberg-Wernigerode – prezydenta Reichstagu, w kolejnych latach przechodziła z rąk do rąk, a wreszcie w 1928 roku przeszła na własność miasta, co pozwoliło na jego rozwój także w kierunku północnym.

Bywali tutaj najznamienitsi mieszczenie i niezwykli goście, a teraz on, Kluge – człowiek, który jeszcze jakiś czas temu cieszył się, mogąc napełnić miski dla wszystkich bachorów czekających w domu – miał znaleźć się w tym nieosiągalnym dla siebie miejscu, a do tego jeszcze w gronie najważniejszych i najbardziej szanowanych mieszkańców regionu, tak bliskich sercu – oraz portfelowi – kreisleitera Kühna.

Zdecydowana większość zwolenników partii Hitlera pochodziła ze środowiska drobnomieszczańskiego, aczkolwiek w szeregi NSDAP wstępowali też potentaci przemysłowi, którzy – skądinąd słusznie – zwietrzyli okazję do pomnożenia swoich majątków w interesach prowadzonych z bonzami partyjnymi: w centrali i na lokalnych podwórkach. Sturmführer nie miał wiedzy, czy fabrykanci obecni w Kreppelhofie należeli do grupy kunktatorów liczących jedynie pieniądze, czy też ideowców chcących realizować wyższe cele. Jemu – co właśnie przed sobą szczerze przyznał – motywacje tych ludzi były zupełnie obojętne. Teraz liczyło się tylko to, że on sam złapał Pana Boga za nogi i zamierzał się ich kurczowo trzymać. Nie przeszkadzało mu nawet, że o tej porze, kiedy dzwon w kościele katolickim wybijał Anioł Pański, zwykli ludzie stali przy maszynach w fabrykach, a na takie przyjemności jak on teraz mogli sobie pozwolić jedynie nieliczni wybrani.

Kluge wszedł w długi tunel wjazdowy prowadzący na dziedziniec wewnętrzny, składający się z trzech sklepień ułożonych jedno za drugim – pierwsze było obłożone ciosami piaskowca, pozostałe już ceglane. Po prawej stronie zobaczył strażnika pilnującego porządku – spytał go o drogę – a chwilę później do jego nozdrzy doleciały zapachy z kuchni znajdującej się kilka metrów dalej, obok spiżarni.

Znalazł się na dziedzińcu, zobaczył ogromną fontannę w kształcie lwa, z jego pyska tryskała woda. Skierował się do klatki schodowej prowadzącej do specjalnego korytarza okrążającego dziedziniec i biegnącego przez wszystkie trzy skrzydła, nie miał przy tym pojęcia, że tak nowatorskie rozwiązania – jak na czasy wybudowania pierwszego pałacu – stosowano jedynie w rezydencjach książęcych, nie zaś u zwykłej szlachty.

Trochę błądził, wreszcie dotarł do ogromnej sali dworskiej znajdującej się na pierwszym piętrze. Pomieszczenie było ozdobione licznymi obrazami, a centralne miejsce zajmowała w nim wielka rzeźba z okrągłym stołem ustawionym dookoła, przy którym siedziało paru mężczyzn. Kluge bezwiednie zerknął w kierunku posągu, była to postać siedząca na tronie, nie mógł jednak rozpoznać, czy przedstawiała mężczyznę, czy też kobietę.

– Kim pan jest? – Martin Lebe, z wykształcenia buchalter, prowadzący też rozliczne interesy na terenie powiatu i poza nim, nie zamierzał ukrywać, że jest tym, który tutaj rządzi. – Kto pana wpuścił?

– Obertruppführer... – zaczął mówić, nagle zamarł.

– To znaczy sturmführer Adolf Kluge. Przychodzę z polecenia kreisleitera Kühna. – Wpatrywał się w rdzawe

włosy rozmówcy. Dopiero teraz rozpoznał, z kim ma do czynienia.

Na dźwięk dobrze znanego sobie nazwiska twarz Le-bego się rozchmurzyła. Kluge wziął to za dobrą monetę, mimo to jednak zaczął się jąkać.

– Mam zadać panom kilka pytań... Do artykułu... O uruchomieniu... Nowej fabryki...

– Nie nowej. – Buchalter wszedł mu w zdanie. – Fabryka lnu Wihardów w Liebau nie jest nowym zakładem, aczkolwiek ma pan rację w tym sensie, że ja razem z obecnymi tu kolegami – obdarzył każdego z towarzyszących mężczyzn ciepłym spojrzeniem – dajemy mu nowe życie, a jednocześnie przyczyniamy się do zmniejszenia bezrobocia w naszym regionie.

Kluge zareagował nerwowo, ze skórzanej aktówki z przypiętą do niej odznaką z zeszłorocznego zjazdu partii w Norymberdze – otrzymanej od kreisleitera do użytku służbowego – wyjął plik kartek i ołówek. Najpierw skrętnie zanotował wypowiedź Le-bego, potem zadał kilka pytań, następnie zaczął wypytywać pozostałych mężczyzn.

Na sali, oprócz buchaltera, był jeszcze Stephan Geisler, dobrze mu znany architekt, o znajomościach którego mawiano, iż sięgają do samego Breslau. Choć złośliwi twierdzili, że były to bujdy wysane z palca, nazwisko projektanta pojawiała się niemal przy każdej poważnej inwestycji przemysłowej poczynionej od czasu, kiedy NSDAP przejęła władzę, coś więc musiało być na rzeczy.

Kolejne miejsce przy okrągłym stole zajmował radca prawny Paul Schweinsteiger, o którym Kluge od dobrze

poinformowanego źródła usłyszał kiedyś, że bywa bardzo skuteczny, a przy tym nie kryguje się przed chwytami poniżej pasa – i prawa – byle tylko osiągnąć postawiony sobie cel. Kogoś o takim pokroju wyrzucono by z palestry, gdyby nie fakt, że Schweinsteiger miał duże znajomości w kręgach partyjnych.

Ostatnim ze zgromadzonych był Wilhelm Augenthaler, najmniej znana sturmführerowi postać. Wiedział jedynie, że zgromadził w swoich rękach akcje kilku – a może i kilkunastu – okolicznych kopalń, w większości podupadłych i unieruchomionych już dawno temu. W jakim celu kolekcjonował je niczym znaczki pocztowe, o tym Kluge nie miał pojęcia.

Orientował się za to w temacie wspólnych interesów tejże czwórki. To właśnie ona odpowiadała za przejęcie – nie zawsze dobrowolne i za godziwą cenę – paru fabryk i przedsiębiorstw w Landeshut, Liebau i Schömbergu, nieczynnych lub mających problemy finansowe, które stawiała na nogi przy wydatnym udziale funduszy rządowych przeznaczonych na walkę z bezrobociem. O ciemnej stronie tych geszeftów mówiło się jedynie w zaciszach niektórych gabinetów NSDAP, do publicznej wiadomości nic takiego nie mogło się przedostać. Poza tym, zarówno ta czwórka, jak i Kühn dbali o propagandę i chociażby z tego powodu przy każdej wzmiance o fabrykantach pojawiały się informacje o ich działalności filantropijnej: datkach na sieroty, inwalidów wojennych czy organizacje społeczne.

Sturmführer zadał kolejne pytanie, próbując przy tym zignorować potężniejące z każdą chwilę burczenie w brzuchu. Było to jednak skazane na porażkę, jako

że okrągły stół zastawiony był półmiskami z różnego rodzaju mięsiwem, pieczywem i owocami. Jedzenia stało tu tyle, że można by wykarmić pluton wojska w pełnym składzie osobowym, a co dopiero czterech mężczyzn w średnim wieku. Oprócz tego przed każdym z nich znajdowała się jeszcze butelka wina lub wódki oraz kieliszki.

– Jeśli to jest skromne przyjęcie, to jak wyglądałoby takie zorganizowane z rozmachem? – zastanawiał się, próbując nie patrzeć na jadło.

Nagle z sąsiedniego pomieszczenia dobiegły jakieś dziwne dźwięki. W pierwszej chwili sturmführer uznał, że głosy należały do kobiet.

– Skończył pan? – Geisler wymownie spojrzał na zegarek, dając do zrozumienia, że czas przeznaczony dla dziennikarza już się skończył.

Zanim Kluge zdążył odpowiedzieć, zza ściany doleciały kolejne piski, tym razem znacznie głośniejsze. Usłyszawszy je, utwierdził się w przekonaniu, że miał do czynienia z facetkami. Nie był co prawda pewien ich wieku, ale obstawiał przy dziewczętach.

– Chętnie odpowiedzielibyśmy na kolejne pytania, ale tak się składa, że mamy do omówienia pewien niecierpiący zwłoki projekt. – Lebe zerwał się z krzesła.

– Tak! – Augenthaler odezwał się pierwszy raz, odkąd dziennikarz pojawił się w sali dworskiej. – Pewien projekt... – Beknął głośno. – Niecierpiący zwłoki... – Po jego głosie dało się poznać, że jest mocno wstawiony.

Jakby na zawołanie chichoty stały się jeszcze głośniejsze.

Kluge spojrział w notatki, próbując wymyślić jeszcze jedno pytanie, ale jego uwagę zaprzętała teraz zupełnie inna myśl. Czyżby po tym niby skromnym przyjęciu przewidziana była jeszcze jakaś inna uroczystość o zupełnie innym podłożu towarzyskim?!

– Herr Sturmführer, panu już dziękujemy. – Lebe zacisnął zęby ze złością. – Jest pan wolny.

– *Jawohl!* Tak jest! – Kluge zrozumiał w lot, że jeśli nawet przyjęcie miało za chwilę nabrać dużo mniej oficjalnego tonu, nie miał co liczyć na zaproszenie.

– I proszę nie zapomnieć, aby zarys artykułu przedstawić do akceptacji kreispropagandaleiterowi – dodał buchalter nerwowo.

– Oczywiście! – Klugemu nawet przez myśl nie przeszło, aby postąpić inaczej.

Po krótkiej chwili ciszy białogłowy z sąsiedniego pokoju znów dały o sobie znać piskami.

– Idź pan już! – Lebe zaczął się wyraźnie niecierpliwić. – I... – Zawiesił głos.

– Tak? – Sturmführer nie wiedzieć czemu pomyślał, że buchalter nagle zmienił zdanie i jednak pozwoli mu tutaj zostać.

– Niech pan staranie zamknie za sobą drzwi – dookończył buchalter, uśmiechając się przy tym ironicznie.

Kluge, nawet gdyby wziął to za afront, nie zareagowałby. Znał Lebegę i wiedział, że wystarczyłoby jedno jego słowo szepnięte kreisleiterowi, aby ten cofnął mu awans i wyrzucił z nowej roboty. Dlatego sturmführer pozwoliłby nawet napluć sobie w twarz, co najwyżej zbyłby to uwagą, że zaczął padać deszcz. Pensja – jedynie to się

teraz liczyło. Bachorów czekających w domu honorem oraz dumą przecież się nie wykarmi.

Wyszedł więc z sali, delikatnie zamknął za sobą drzwi i ruszył korytarzem w stronę schodów. Nie przyszło mu przy tym do głowy, aby przystawić ucho i podsłuchiwać.

Zresztą nie musiał. Zanim jeszcze dotarł do klatki schodowej, usłyszał te same piski – tyle że dużo głośniejsze – tym razem jednak dobiegały z sali dworskiej, co oznaczało, że dziewczęta znalazły się już w towarzystwie czwórki fabrykantów. Chwilę później do jego uszu doleciał też odgłos do złudzenia przypominający uderzenie dłonią w goły pośladek.

– Kto bogatemu zabroni pochędożyć... – szepnęła, zbiegając po stopniach.

Kilka minut później znajdował się już za bramą wjazdową i patrzył na zamek, czując przy tym delikatną zazdrość. Potem raz jeszcze zerknął na inskrypcję, myśląc o tym, czy którykolwiek z fabrykantów bawiących się teraz w sali dworskiej zwróciłby na nią w ogóle uwagę.

Anioł Pański obozuje wokół Pana, więc bój się go i pomóż mu. On aniołom czuwającym nad tobą nakazuje, aby strzegły cię na wszystkich twoich drogach.

Przeczytawszy ją raz jeszcze, zaczął dumać nad tym, jak zareagowaliby włoscy rzeźbiarze, gdyby wiedzieli, co wyczynia się teraz za murami Kreppelhofu.

– Pewnie wykuliby zupełnie inny fragment Pisma Świętego – odpowiedział sam sobie na pytanie, a zaraz potem zacytował z pamięci. – Z wnętrza bowiem, z serca ludzkiego pochodzą złe myśli, nieład, kradzieże,

zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zazdrość, obelgi, pycha, głupota¹⁷.

Machnął na to ręką, ruszył w stronę miasta. Lebe i jego partnerzy w interesach mogli sobie robić, co im się żywnie podobało. On swoje zadanie wypełnił i nic mu było do tego, jak się teraz zabawiają.

Z tą myślą przyśpieszył, marząc o tym, żeby jak najszybciej przekazać żonie wieści o awansie i podwyżce.

¹⁷ Mk 7, 21-22. Cytat z Pisma Świętego za Biblią Tysiąclecia Online (<http://biblia.deon.pl>).